№ 2. Cena 10 groszy.

KWIATY.

(Tygodnik.)

Do przyjaciół Moskali.

Wy czy mnie wspominacie?... Ja ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach:
I o was myślę; wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Ryłejewa,
Którąm jak bratnią ściskał, carskimi wyroki
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa...
Klątwa ludom co swoje mordują proroki!

Ta ręka którą do mnie Bestużew wyciągnął
— Wieszcz i żołnierz — ta ręka, od pióra i broni
Oderwana, i car ją do taczki zaprzągnął,
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara...
Może kto z was, urzędem, orderem zhańbiony,
Duszę wolną na wieki przedał w łaskę cara,
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem tryumf jego sławi,
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa;
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się krwawi
I przed carem jak z zasług chlubi się z przekleństwa.

Jeśli do was, z daleka, od wolnych narodów
Aż na północ zalecą te pieśni żałosne,
I odezwą się z góry nad krainą lodów:
Niech wam zwiastują wolność, jak żórawie wiosnę!

Poznacie mię po głosie!... Pókim był w okuciach,
Pełzając milczkiem jak wąż łudziłem despotę:
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach,
I dla was miałem zawsze gołębia prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny...
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy:
Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny;
Niech żre i pali — nie was lecz wasze okowy.

Kto z was podniesie skargę — dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kąsać — rękę co ją targa.

CZYN.

(Na nutę Beranżera: *Jeunes enfants.*)

Hej, dalej w pląs,
Pokręcaj wąs,
Tak nasi mawiali przodkowia
Poczciwie bij,
A tęgo pij,
Hej, pijmy za ich zprowie!

Gdy młody Polak *czynem* się zbłaźni
Dopóki krzyża nie dopnei,
Pnie się na świecie, jak w ruskiej łaźni,
Na coraz wyższe i wyższe stopnie:
Jeżeli zbrukał sumienie,
Dalibóg, że skręci szyję.
Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o *czyn*,
Tak nasi mówili przodkowie
Jeżeliś gracz,
Choć bieda, płacz,
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Tamten astronom od nocy do rana,
Do gwiazd wyprawia połowy;
I sadzi krzyże na brzuch, na pierś, na kolana,
Świeci się jak wóz Dawidowy.
Lecz wkrótce śmierć się zbliża,
A z nią piekielna męka:
Tego jednego krzyża
Belzebub się nie lęka.

Hej, dalej w pląs,
Pokręcaj wąs.
Tak nasi mówili przodkowie
Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o *czyn*.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Przegląd wojska.

Jest plac ogromny. Jedni zowią szczwalnią:
Tam car psy wprawia, nim puści na zwierza;
Drudzy plac zowią grzeczniej, gotowalnią:
Tam car swe stroje próbuje, przymierza,
Nim w rury, w piki, w działa ustrojony,
Wyjdzie odbierać monarchów pokłony. —
Kokietka idąc na bal do pałacu,
Nie tyle trawi przed źwierciadłem czasów,
Nie robi tyle umizgów, grymasów,
Ile car codzień na tym swoim placu.
Inni w tym placu widzą szarańczarnię:
Mówią, że car tam hoduje nasiona
Chmury szarańczy, która wypasiona
Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.
Są, co plac zowią toczydłem chirurga:
Bo tu car naprzód lancety szlifuje,
Nim, wyciągnąwszy rękę z Petersburga,
Tnie tak, że cała Europa poczuje:
Lecz nim wyśledzi, jak głęboka rana,
Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,
Już car puls przetnie Szacha i Sułtana,
I krew wypuści z pod serca Sarmaty.
Plac różnych imion; lecz w języku rządów,
Zowie się placem wojskowych przeglądów.

Dziesiąta, ranek: już przeglądów pora.
Już plac okrąża ludu zgraja cicha,
Jako brzeg czarny białego jeziora;
Każdy się tłoczy, na środek popycha.
Po placu, jako rybitwy nad wodą,
Zwija się kilku Dońców i dragonów.
Ciekawsze głowy tyłcem piki bodą,
Na bliższe karki sypią grad bizunów,

Kto wylazł naprzód jak żaba z bagniska,
Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.
Słychać grzmot zdala, głuchy, jednostajny,
Jak kucie młotów, lub młócenie cepów:
To bęben, pułków przewodnik zwyczajny.
Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów,
Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze
— Zielone — w śniegu czernią się zdaleka;
I płynie każda kolumna jak rzeka,
I wszystkie w placu toną jak w jeziorze.

Tu mi daj, muzo, usta stu Homerów,
W każde wsadź ze sto paryzkich języków.
I daj mi pióra wszystkich buchhalterów:
Bym mógł wymienić owych pułkowników,
I oficerów i podoficerów,
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohatery tak podobne sobie!
Tak jednostajne! Stoi chłop przy chłopie,
Jako rząd koni żujących przy żłobie,
Jak kłosy w jednym uwiązane snopie,
Jako zielone na polu konopie,
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,
Jak petersburskich rozmowy salonów.
Tyle dostrzegłem: że jedni z Moskalów,
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów.
Mieli na czapkach mosiężne litery
Jakby łysinki — to granadyery:
I było takich trzy zgraje wąsalów.
Za nimi, niżsi stali w mnogich rzędach,
Jak pod liściami ogórki na grzędach.
Żeby rozróznić pułki w tej piechocie,
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,
Który przegląda wykopane w błocie,
I gatunkuje i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby: to konne orszaki,
I rozmaitsze, ułanów, huzarów,
Dragonów: czapki, kirysy, kołpaki;
Myślałbyś, że tu kapelusznik jaki
Rozłożył składy swych różnych towarów.
W końcu pułk wjechał: chłopy gdyby hlaki,
Okute miedzią, jak rząd samowarów,
A spodem pyski końskie jako haki

Pułki w tak różnych ubiorach i broniach
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach:
Bo tak i nowa taktyka doradza,
I z obyczajem ruskim to się zgadza.
Napisał wielki jenerał Żomini,
Że koń, nie człowiek dobrą jazdę czyni;
Dawno już o tem wiedzieli Rusini:
Bo za dobrego konia gwardjaka,
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy;
Oficerskiego cena jest czworaka,
I za takiego konia dać należy
Lutnistę, skoczka, albo też pisarza,
A w czasach drogich nawet i kucharza.
Skarbowe chude, poderwane klacze,
Nawet te, które wożą lazarety,
Jeśli je stawią w faraona gracze,
Liczą się zawsze: klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do pułków. Pierwszy wjechał kary,
Drugi też kary, lecz anglizowany,
Dwa były gniade, a piąty bułany,
Siódmy znów gniady, ósmy jak mysz szary,
Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,
A potem znowu kary bez ogona,
U dwunastego na czole łysina,
A zaś ostatni wyglądał jak wrona.
Harmat wjechało czterdzieści i osiem,
Jaszczyków więcej niźli drugie tyle;
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim.
Bo żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,
Trzeba mieć oko twe Napoleonie,
Lub twoje, ruski intendencie prochu!
Ty, nie zważając na ludzi i konie!
Jaszczyków patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś,
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury
Jak trawy, w które ubiera się łąka,
Gdzie niegdzie tylko wznosi się do góry
Jaszczyk podobny do błotnego bąka,
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,
A przy nim działo ze swoim lawetem,
Usiadło nakształt czarnego pająka.

Każdy ten pająk ma nóg przednich cztery.
I cztery tylnych: zowią się te nogi
Kanoniery i bombardiery.
Jeżeli siedzi spokojnie śród drogi,
Noga się każda gdzieś daleko rucha:
Myślisz, że całkiem oddzielnie od brzucha,
I brzuch jak balon w powietrzu ulata;
Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata,
Nagle się zbudzi rozkazem wyzwana,
Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie;
Wnet ściągnie nogi, podchyla kolana,
I nim się nadmie, nim jady wybuchnie,
Zrazu przednimi kanonierami,
Około pyska długo, szybko wije:
Jak mucha co się w arszenniku splami,
Siadłszy swój czarny pyszczek długo myje,
Potem dwie przednie nogi wtył wywróci,
Tylnymi kręci, potem kiwa zadem,
Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,
Chwilę spoczywa, w końcu buchnie jadem.

Pułki stanęły. Patrzą: car, car jedzie!
Tuż kilku starych, konnych admirałów,
Tłum adjutantów i ćma jenerałów,
Z tyłu i z przodu, a car sam na przedzie.
Orszak dziwacznie pstry i centkowany,
Jak arlekiny: pełno na nich wstążek,
Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzążek;
Ten sino, tamten żółty przepasany,
Na każdym gwiazdek, kółek i krzyżyków
Z przodu i z tyłu, więcej niż guzików.
Świecą się wszyscy, lecz nie światłem własnem:
Promienie na nich idą z oczu pańskich.
Każdy jenerał jest robaczkiem jasnym,
Co błyszczy pięknie w nocach świętojańskich,
Lecz skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,
Nędzne robaczki tracą swoje blaski.
Żyją, do cudzych krajów nie ucieką,
Ale nikt nie wie, gdzie się w błocie wleką.
Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem:
Kula go trafi, car się doń uśmiechnie;
Lecz gdy car strzeli niełaskawem okiem,
Jenerał blednie, słabnie, często—zdechnie.

Śród dworzan prędzej znalazłbyś stoików:
Wspaniałe dusze... Choć gniew cara czują,
Ani się zarzną, ani zachorują;
Wyjadą na wieś do swych pałacyków,
I piszą ztamtąd: ten do szambelana,
Ow do metresy, ów do damy dworu,
Liberalniejsi piszą do furmana,
I znowu zwolna wrócę do faworu.
Tak z domu oknem zrzucony pies zdycha:
Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi,
I znowu szuka do powrotu drogi,
I jakąś dziurą znowu wnijdzie z cicha.
Nim stoik w służbę wróci tryumfalnie,
Na wsi rozprawia cicho—liberalnie.

Car był w mundurze zielonym, z kołnierzem
Złotym. Car nigdy nie zrzuca mundura;
Mundur wojskowy jest to carska skóra:
Car rośnie, żyje i—gnije żołnierzem.

Ledwie z kolebki dziecko wyjdzie carskie,
Zaraz do tronu zrodzony paniczyk,
Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,
A za zabawkę szabelkę i—biczyk.
Sylabizując szabelką wywija,
I nią wskazuje na książce litery;
Kiedy go tańczyć uczą guwernery,
Biczykiem takty muzyki wybija.
Dorosłszy, całą jest jego zabawą,
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,
Komenderować na lewo, na prawo,
I wprawiać pułki w mustrę—i pod baty.

Tak się car każdy do tronu sposobił,
Ztąd ich Europa boi się i chwali.
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:
Mądry przegadał, ale głupi pobił.
Piotra Wielkiego niechaj pamięć żyje:
Pierwszy on odkrył tę Caropedyję.
Piotr wskazał carom do wielkości drogę:
Widział on mądre Europy narody,
I rzekł: Rosją zeuropejczyć mogę.
Obetne suknię i ogolę brody.
Rzekł—i wnet poły bojarów, kniazików
Ścięto, jak szpaler francuskiego sadu!

Rzekł—i wnet brody kupców i mużyków
Sypią się chmurą, jak liście od gradu.
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,
Postawił turmy, urządził kadety,
Kazał na dworze tańczyć menuety,
I do towarzystw gwałtem wwiódł kobiety;
I na granicach poosadzał straże,
I łańcuchami pozamykał porty;
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,
Odkupy wódek, czyny i paszporty;
Ogolił umył i ustroił chłopa,
Dał mu broń w ręce, kieszcń narublował,
I zadziwiona krzyknęła Europa:
Car Piotr Rosję ucywilizował!
Została tylko dla następnych carów:
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,
Wyprawić kilka rzezi i pożarów,
Zagrabiać cudze dokoła dzierżawy,
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,
By zyskać oklask Francuzów i Niemców,
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi! zaczekajcie nieco!
Bo gdy wam w uszy zabrzmi huk ukazów,
Gdy knutów grady na karki wam zlecą,
Gdy was pożary waszych miast oświecą,
A wam natenczas zabraknie wyrazów;
Gdy car rozkaże ubóstwiać i sławić
Sybir, kibitki, ukazy i knuty: —
Chyba będziecie cara pieśnią bawić,
Warjowaną na dzisiejsze nóty.

Car, jak kręgielna kula, między szyki
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi,
„Zdrowia ci życzym“ szepcą wojowniki.
Ich szepty były, jak mruk stu niedźwiedzi.
Dał rozkaz. Rozkaz wymknął się przez zęby
I wpadł, jak piłka, w usta komendanta,
I potem, gnany od gęby do gęby,
Na ostatniego upada sierżanta.
Jęknęły bronie, szczęknęły pałasze,
I wszystko było zmieszane w odmęcie.
Na linjowym kto widział okręcie
Ogromny kocioł, w którym robią kaszę,

Kiedy weń woda z pompy, jako z rzeczki,
Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza
Za jednym razem krup ze cztery beczki,
Potem dziesiątkiem wioseł w kotle miesza;
Kto zna francuską izbę deputatów,
Większą i stokroć burzliwszą od kotła,
Kiedy w nią projekt komisja wmiotła,
I już nadchodzi godzina debatów:
Cała Europa, czując zdawna głody,
Myśli, że dla niej tam warzą swobody,
Już liberalizm z ust, jako z pomp bucha,
Ktoś tam o wierze wspomniał na początku,
Izba się burzy, szumi i niesłucha;
Ktoś wspomniał wolność, lecz nie zrobił wrzątku;
Ktoś wreszcie wspomniał o królów zamiarach,
O biednych ludach, o despotach, carach:
Izba znudzona krzyczy: „do porządku!“
Aż tu minister skarbu, jakby z drągiem,
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,
Zaczyna mieszać mową o procentach,
O cłach, opłatach, stęplach, remanentach;
Izba wre, huczy i kipi i pryska
I szumowiny aż pod niebo ciska;
Ludy się cieszą, gabinety straszą:
Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,
Że była mowa tylko o podatku,
Kto tedy widział owy kocioł z kaszą,
Lub ową izbę: ten łatwo zrozumie
Jaki gwar powstał w tylu pułków tłumie,
Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy,
Wtem, trzystu bębnów ozwały się huki.
I jak lód Newy, gdy pryśnie na sztuki,
Piechota w długie porznęła się słupy;
Kolumny jedne za drugimi dążą,
Przed każdą bęben i komendant woła.
Car stał, jak słońce, a pułki dokoła
Jako planety toczą się i krążą.
Wtem car wypuścił stado adjutantów,
Jak wróble z klatki, albo psy ze smyczy:
Każdy z nich leci, jak szalony krzyczy...
Wrzask jenerałów, majorów, sierżantów,
Huk tarabanów, piski muzykantow...
Nagle piechota, jak lina kotwicy
Z kłębów rozwita, wyciąga się sznurem;

Ściany idącej pułkami konnicy
Łączą się, wiążą, jednym stają murem...

Jakie zaś dalej były tam obroty:
Jak jazda rącza i niezwyciężona,
Leciała obces na karki piechoty,—
Jak kundlów psiarnia trąbą poduszczona
Na związanego niedźwiedzia uderza.
Widząc, że w kluby ujęto pysk zwierza;
Jak się piechota kupi, ściska, kurczy.
Nadstawia bronie jaklo igły jeża,
Który poczuje, że pies nad nim burczy;
Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku
Targniona smyczą powściągnęła kroku,
I jak harmaty wprzód i w tył ciągano,
Jak po frzncusku, po rusku łajano,
Jak w areszt brano, po karkach trzepano,
Jak tam marzniono i z koni spadano:
I jak carowi w końcu winszowano
Czuję, tę wielkość, bogactwo przedmiotu,
Gdybym mógł opisać, wsławiłbym me imię!
Lecz muza moja, jak bomba w pół lotu
Spada i gaśnie w prozaicznym rymie,
I śród głównego manewrów obrotu,
Jak Homer w walce bogów, ja—ach, drzemię!

Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy,
O których tylko car czytał lub słyszał:
Śród zgrai widzów już się gwar uciszał:
Już i sukmany, delje, kożuchy,
Co się czerniły gęsto w koło placu,
Rozpełzały się każda w swoją stronę,
I wszystko było zmarzłe i znudzone;
Już zastawiono śniadanie w pałacu.

Ambasadory zagranicznych rządów,
Którzy pomimo i mrozu i nudy,
Dla łaski carskiej nie chybią przeglądów,
I codzień krzyczą: o dziwy! o cudy!
Już powtórzyli raz tysiączny drugi
Z nowym zapałem dawne komplementy:
Że car jest taktyk w planach nie pojęty,
Że wielkich wodzów ma na swe usługi,
Że kto nie widział, nigdy nie uwierzy
Jaki tu zapał i męstwo żołnierzy.

Nakoniec była rozmowa skończona,
Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona;
I na zegarek już każdy spozierał,
Bojąc się dalszych galopów i kłusów;
Bo mróz dociskał dwudziestu gradusów,
Dusiła nuda i głód już doskwierał.

Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy.
Swe pułki siwe, kare i bułane,
Puszcza, wstrzymuje po dwadzieścia razy:
Znowu piechotę przedłuża jak ścianę,
Znowu ją ściska w czworobok zawarty.
I znowu nakształt wachlarza roztacza:
Jak stary szuler, choć już nie ma gracza,
Miesza i zbiera i znów miesza karty;
Choć towarzystwo samego zostawi,
On się sam z sobą kartami zabawi.
Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił
I w jenerałów ukrył się natłoku.
Wojsko tak stało, jak je car porzucił
I długo z miejsca nie ruszyło kroku:
Aż trąby, bębny dały znak nareszcie.
Jazda, piechota, długich kolumn dwieście
Płyną i toną w głębi ulic miejskich.
Jakże zmienione, niepodobne wcale
Do owych bystrych potoków alpejskich,
Co rycząc mętne walą się po skale,
Aż w jezior jasnem spotkają się łonie,
I tam odpoczną, i oczyszczą wody,
A potem zlekka, nowymi wychody,
Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie:
Tu, pułki weszły czerstwe; czyste, białe,
Wyszły zziajane i oblane potem:
Roztopionymi śniegi poczerniałe,
Brudne z pod lodu wydeptanem błotem.

Wszyscy odeszli, widze i aktory.
Na placu pustym, samotnym, zostało
Dwadzieścia trupów: ten ubrany biało,
Żołnierz od jazdy; tamtego ubiory
Nie zgadniesz jakie, tak do śniegu wbity,
I stratowany końskimi kopyty;
Ci zmarli. stojąc przed frontem jak słupy,
Wskazując pułkom drogę i cel biegu;
Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu,

Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.
Biorą ich z ziemi policejskie sługi
I niosą chować, martwych, rannych społem:
Jeden miał żebra złamane, a drugi
Był wpół harmatniem przejechany kołem;
Wnętrzności ze krwią wypadły mu z brzucha,
Trzykroć okropnie z pod armaty krzyknął,
Lecz major woła: milcz! bo car nas słucha;
Żołnierz tak słuchać majora przywyknął,
Że zęby zaciął. Nakryto co żywo
Rannego płaszczem. Bo gdy car przypadkiem
Zrana jest takiej nagłej śmierci świadkiem
I widzi na czczo skrwawione mięsiwo,
Dworzanie czują w nim zmianę humoru:
Zły, opryskliwy powraca do dworu;
Tam go czekają z śniadaniem nakrytem,
A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił;
Grożono, bito: próżna groźba, kara,
Jenerałowi nawet się zprzeciwił,
I jęczał głośno—klął samego cara!
Ludzie, niezwykłym przerażeni krzykiem,
Zbiegli się nad tym parad męczennikiem.
Mówią, że jechał z dowódzcy rozkazem.
Wtem koń mu stanął jak gdyby zaklęty,
A z tyłu wleciał cały szwadron razem;
Złamano konia, i żołnierz zepchnięty
Leżał pod jazdą płynącą korytem,
Ale od niego litościwsze konie:
Skakał przez niego szwadron po szwadronie
Jeden koń tylko trafił weń kopytem,
I złamał ramię. Kość na wpół rozpadła
Przedarła mundur, i ostrzem sterczała
Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała;
I twarz żołnierza równie jak kość zbladła,
Lecz sił nie stracił; wznosił drugą rękę
To ku niebiosom, to widzów gromady
Zdawał się wzywać, i mimo swą mękę
Dawał im głośno, długo jakieś rady.
Jakie? nikt nie wie, nie mówią przed nikim.
Bojąc się szpiegów, słuchacze uciekli
I tyle tylko pytającym rzekli,
Że ranny mówił złym ruskim językiem;
Kiedy niekiedy słychać było w gwarze,

Car, cara, caru,—coś mówił o carze.
Chodziły wieści, że żołnierz zdeptany,
Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,
Wielkiego rodu, księcia, grafa synem;
Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,
I że dowódzca nie lubiąc Polaka,
Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,
Mówiąc: niech skręci szyję Lach, sobaka...

Kto był, nie wiedzą, i po tem zdarzeniu
Nikt nie posłyszał o jego imieniu.
Ach! kiedyś tego imienia, o carze!
Będą szukali po twojem sumieniu;
Djabeł je pośród tysiąców ukaże,
Któreś ty w minach podziemnych osadził,
Wrzucił pod konie, myśląc, żeś je zgładził.
Nazajutrz, zdala za placem słyszano
Psa głuche wycie... Czerni się coś w śniegu:
Przybiegli ludzie, trupa wygrzebano;
On po paradzie został na noclegu.
Trup na pół chłopski, napoły wojskowy,
Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,
Miał czapkę z futrem i płaszcz mundurowy,
I był zapewne oficerskim sługą.
Siedział na wielkim futrze swego pana.
Tu zostawiony, tu rozkazu czekał,
I zmarzł, i śniegu już miał za kolana;
Tu go pies wierny znalazł i oszczekał:
Zmarznął—a w futro nie okrył się ciepłe!
Jedna źrenica śniegiem zasypana;
Lecz drugie oko, otwarte choć skrzepłe
Na plac obrócił, czekał ztamtąd pana!
Pan kazał siedzieć, i sługa usiędzie;
Kazał nie ruszać z miejsca, on nie ruszy,
I nie powstanie aż na strasznym sądzie,
I dotąd wierny panu, choć bez duszy:
Co dotąd ręką trzyma pańską szubę
Pilnując, żeby jej nie ukradziono.
Drugą chciał rękę ogrzać. ukryć w łono,
Lecz już nie weszły pod płaszcz palce grube.
I pan go dotąd nie szukał, nie pytał:
Czy mało dbały, czy nadto ostrożny...
Zgadują, że to oficer podrożny,
Że do stolicy niedawno zawitał,
Nie z powinności chodził na parady,

Lecz by pokazać świeże epolety;
Może z przeglądów poszedł na obiady,
Może na niego mrugnęły kobiety,
Może gdzie wstąpił do kolegi gracza
I nad kartami—zapomniał brodacza;
Może się wyrzekł i futra i sługi,
By nie rozgłosić, że miał szubę z sobą.
Że nie mógł zimna wytrzymać jak drugi,
Gdy je car carską wytrzymał osobą;
Bo by mówiono: jeździ niefortunnie
Na przegląd z szubą—myśli liberalnie!

O biedny chłopie! Heroizm, śmierś taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem!
Jak cię nagrodzą? Pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny—jak sobaka...
O biedny chłopie! Za cóż mi łza płynie,
I serce bije, myśląc o twym czynie?...
Ach! żal mi ciebie, biedny Słowianinie!
Biedny narodzie! żal mi twojej doli:
Jeden znasz tylko heroizm—niewoli!

Wydawca **W. J.**